Do № 24. Sobota 25 stycznia 1930 r.



Rys. S. Norblin.

DO DZIECI.

Czyż może być coś śliczniejszego od wiosny, która jest samą radością? coś kwietniejszego — od kwiatów? weselszego — od ptaków, pogodniejszego — nad pogodne niebo i jaśniejszego od słońca? Zdawałoby się, że niema nic takiego na całym świecie, nawet w bajkach.

A jednak jest coś promienniejszego od tych wszystkich cudów, coś, co jest jednocześnie i wiosną i kwiatem i słońcem i najweselszym ptaszkiem. To coś nie jest w bajce, ale w prawdziwem życiu. Tem najrozkoszniejszem „czemś" jest dobre dziecko.

×

Każdy uśmiech dziecięcy, każdy łobuzerski błysk ślepków, więcej jest wart od całego blasku słońca. Każda niewinna psota dziecka ma w sobie więcej radości, niż wiosna ze wszystkiemi swojemi fjołkami i słowikami... Bo dziecko jest tem dla ziemi, czem słońce dla nieba...

×

I tak, jak przeznaczeniem kwiatów jest, aby nam ziemię zamieniały w ogród kolorowy i pachnący, a przeznaczeniem ptaków, aby ten ogród napełniały śpiewem i weselem; jak przeznaczeniem motyli jest, aby bawiły się nad kwiatami w słońcu, a przeznaczeniem słońca — aby na świecie było jaknajjaśniej — tak przeznaczeniem dziecka na tej ziemi jest być jej uśmiechem.

×

Złe to rośliny, które — zamiast pachnieć i radować — parzą, jak pokrzywy, lub kłują, jak osty... Złe to ptaki, które — zamiast śpiewać wesoło i radością napełniać świat — kraczą ponuro, jak kruki i wrony... Złe to owady, które, zamiast ulatywać z nad kwiatów w słońce, jak motyle, szerzą jad i truciznę — jak osy... Złe to chmury, które kryją słońce, by na ziemi było jaknajciemniej... I złe to dzieci, które nie są uśmiechem ziemi, ale jej smutkiem...

×

Mówią, że dziecko jest przyszłością narodu. Jest ono i teraźniejszością, ponieważ dziś, teraz, zaraz ono stanowi całe nasze szczeście. Dla niego my, ludzie dorośli, pracujemy... Z myślą o dziecku poczynają się wszystkie dobre dzieła na całej ziemi... Jesteście dla nas wszystkiem i dlatego musicie być naszą radością.

Wy będziecie uszczęśliwiać nas, a my — was, aby na świecie było jaknajlepiej.

Wówczas w waszym śmiechu, który jest najradośniejszym głosem na świecie, będzie wesołość niczem niezamącona. I my się będziemy z wami śmiać.

A łzy wasze przypominać będą bardziej rosę poranną, która taje przy pierwszym promyku słońca, niż łzy płaczącego człowieka. I my przez was nigdy nie będziemy płakać.

×

Cudowne pierścienie są nietylko w bajkach, ale i w życiu. Każde dziecko może życie swoje uczynić bajką szczęśliwą... Krasnoludki — to wy, karzełki — to wy, dobre duszki — to wy... I królewicze i królewny — to też wy... A pierścieniem czarownym, który wszystkie cuda może uczynić i wszystkie skarby wam otworzyć — to jest wasze dobre, kochające serce...

×

Życie leci naprzód... Wyżej od smoków z bajki wzlatują dziś samoloty... Szybciej od pieśni duszków powietrznych przelatują skrzydlate słowa radja... Zmienia się cały świat: tylko jedna rzecz nigdy nie ulega zmianie — dobre serce...

Dlatego też jest to ze wszystkich skarbów najczarowniejszy skarb — i nie potrzeba go szukać daleko za górami, za lasami... Bije tuż — tuż... Posłuchajcie i pamiętajcie o niem.

Juljan Ejsmond.

Heljodorek, syn czarnoksiężnika.

Hen, daleko, za górami
za lasami, za zekami,
czarnoksiężnik żył potężny
z małym synkiem i sługami.

Już zdaleka widać było
nad przepaście i parowy
potężnego czarodzieja
piękny pałac kryształowy.

Wszystko było tam przejrzyste:
drzwi i ściany, dachy, mury.
Wszędzie słonko zaglądało —
albo z boku, albo z góry.

Moc czarodziej miał olbrzymią
(nie chcesz — nie wierz, a ja wierzę):
mógł każdego zaczarować
i człowieka zmienić w zwierzę.

Ale nigdy nie chciał karać
ludzi taką straszną klęską
i pod siedem spustów chował
swoją laskę czarnoksięską.

W mocnej szafie, z zaklęć księgą
spowinięta była w worek.
...A miał synka czarnoksiężnik;
synka zwali — Heljodorek.

Heljodorek, nic dobrego,
lubił psoty i zabawy,
ale zwłaszcza (co się zdarza)
nadzwyczajnie był ciekawy.



Rys. M. Wisznicki.

Czarnoksiężnik dnia pewnego
na karego wsiadł rumaka
i, żegnając domowników,
w podróż ruszył lotem ptaka.

Ale przedtem tak powiedział:
— Słuchaj, luby Heljodorku!
Nie pozwalam, byś zaglądał,
co schowane w tamtym worku!

A najlepiej — do komnaty,
czarnoksięskiej nie wchodź wcale!...
...Heljodorek przyrzekł słuchać,
przyrzekł słuchać — ale... ale...

Ale, choć ciekawość — wiemy —
pierwszy stopień to do piekła,
Heljodorek nie wytrzymał,
gdy ciekawość mu dopiekła.

Do komnaty czarnoksięskiej
wciąż zadarty nosek wtyka,
wreszcie skacze na zydelek
i do szafy drzwi odmyka.

Stoją rzędem grube księgi,
czarodzieja tajemnice...
Aż w uśmiechu Heljodorek
swoje psotne skrzywił lice.

Chwyta laskę czarnoksięską,
potem księgę, pierwszą z brzega,
wyczytuje w niej zaklęcie
i do kuchni pędem zbiega.

Stary kucharz Garnkolizek
smażył sosy na patelni
Hokus — pokus! Heljodorek
w gęś go zmienił najbezczelniej...

Kucharzowi dziób urasta;
chce coś mówić, a tu gęga...
Ot, co zrobił Heljodorek
i tajemnej wiedzy księga!

Bieży dalej na krużganek;
kucharz za nim dziób wysadza...
Hokus — pokus! Wnet lokajów
w osły zmienia jego władza!

Biednym ludziom w jednej chwili
uszy rosną w ośle słuchy...
Tupu — tup! — za Heljodorkiem
bure biegną kłapouchy.

Groch o ścianę!... Już jest w stajni
Heljodorek rozhukany.
Hokus — pokus! Miast stajennych,
stoją woły i barany!

Jak umieją — beczą, ryczą
przerażeni domownicy...
Heljodorek nasz czemprędzej
myk po schodach do piwnicy!



Rys. M. Wisznicki.

W ciemnym loszku ciągnie miodek
gruby Beczkuś, pan piwnicy.
Hokus — pokus! Biedny Beczkuś,
niby świnka, cienko kwiczy!

Dumnie wokół się ogląda
Heljodorek — jest szczęśliwy:
czarodziejską swoją w'adzą
takie oto zrobił dziwy!

Dobre żarty, ale krótkie;
nie chce nikt tak d'użej zostać.
Każdy prosi: — Heljodorku!
przywróć mi człowieczą postać!

...Hokus — pokus!... Co to znaczy?
...Hokus — pokus!... Nie pomaga!...
Heljodorek laską macha,
oraz z księgą swą się zmaga.

Syk, bek, ryki — nie pomogą!
Czar, zaklęcie — nie odchodzi!...
...Niema rady! Trzeba czekać
aż powróci sam dobrodziej!

— Heljodorku! Ciężka sprawa!
Proś o pomoc swego taty!
Lecz co tatuś na to powie?...
Heljodorku — będą baty!

Nieposłuszny i ciekawy,
takąś zrobił awanturę!...
Ejże, ejże! sprawiedliwie
da ci tatuś teraz w skórę!...

...Słychać tętent koło bramy;
czarnoksiężnik wraca cwałem.
— Witaj mi, czeladko mi'a!
Dawno cię już nie widzia'em!...

Gdzież czeladka?... Ryczy krowa,
drze się osioł, kura gdacze,
chrząka świnia, a przed niemi
Heljodorek gorzko płacze!...

— A wisusie! A psotniku!
To to tak się ojca slucha? —
Pogadamy... ale przedtem
wrócę im ludzkiego ducha!

Pyf! Apsik! Abrakadabra!...
... Patrzaj: wół pogubił rogi,
z świni spad'a już szczecina,
osioł na dwie staje nogi...

W ludzkiem ciele jeszcze długo
potem żyli, kwitnąc zdrowiem.
... A jak bylo z Heljodorkiem —
to wam chyba nie opowiem!

Antoni Bogusławski.



Rys. M. Wisznicki.

CZAO-RA.

OPOWIEŚĆ PÓŁNOCNA.

ROZDZIAŁ I.

Na północy.

Na dalekiej północy w szałasach ze skóry, kory lub z cienkich żerdzi modrzewiowych, w „jurtach", „czumach", a czasem — w małych, ciemnych, o nizkich pułapach chatkach, pozbawionych dachów, pędzą życie ludzie o twardych, czarnych włosach, o twarzach ciemnych, szerokich, o policzkach wystających, wargach grubych i oczach skośnych, bystrych, poważnych.

Mężczyźni tak samo, jak ojcowie nasi, troszczą się o rodzinę i pracują, aby zabezpieczyć drogie istoty od głodu, zimna i choroby; kobiety z miłością matczyną i trwogą wychowują dzieci swoje na dzielnych mieszkańców surowej krainy, gdzie tylko silny potrafi wywalczyć sobie prawo do życia. Chłopaki i dziewczynki, otulone w ubrania z futra, tak samo, jak nasze dzieci w Saskim ogrodzie lub w Łazienkach, dokazują, gonią się, kłócą, cieszą się i płaczą.

Ludzie dalekiej połnocy niczem się więc nie różnią od nas, bo umieją tak samo myśleć, czuć radość i cierpienie, wierzą w Boga i pracują.

Mieszkańcy tej surowej krainy są „koczownikami". Gdy zabraknie ryb w rzece lub jeziorze, koczownicy - rybacy zwijają namioty i, obładowani całym swoim dobytkiem dążą ku brzegom innej rzeki, gdzie znowu stawiają lekkie budowle w pobliżu wody; koczownicy-pasterze, zajęci hodowlą reniferów, gdy spostrzegą, że zwierzęta ich pojadły już trawę w całej okolicy, wędrują dalej ze stadami, szukając obfitego pastwiska; koczownicy-myśliwi przenoszą się również z miejsca na miejsce, idąc śladami zwierząt, stanowiących cel ich łowów.

Zimy są tu straszne nietylko z powodu trzaskających mrozów i wściekłych śnieżyc, lecz najwięcej dlatego, że przerażają i gnębią ludzi długotrwałą nocą polarną.

Czarny mrok spowija białą ziemię. Dmą wichry zimne, a pod ich tchnieniem zamarzają rzeki i jeziora nieraz do samego dna, pękają skały i drzewa; ścięte mrozem w locie padają cietrzewie, białe pardwy i inne ptactwo; wszystko, co żyje, ukrywa się w norach i legowiskach, a nawet biały niedźwiedź, zaopatrzony w grube, ciepłe futro, szuka jakiegoś dołu, kładzie się w nim i czeka aż przysypie go śnieg, pod którym przetrwa najsurowszy okres zimy.

Wyje i jęczy zamieć, miotają się pod jej smaganiem łapy jodeł i świerków, pokraczne gałęzie modrzewi, rozpaczliwie chylą się i skrzypią nagie, białe brzozy — powyginane, koszlawe.

Na równinach niezmierzonych, stanowiących „tundrę"—trzęsawisko, trawą brunatną i mchem porosłe, a biegnące aż hen! ku brzegom zamarzniętego Oceanu Lodowatego, szeleści, zgrzyta i mknie kurzawa śnieżna, podnoszona, ciskana wściekle przez wicher mroźny; miotają się, powiewają i syczą rozwichrzone, rozczochrane grzywy nad wierzchołkami śnieżnych wydm i kurhanów.

Z ciemności bezmiernej wyłaniają się nagle jakieś obłoki świetlne, zaczynają rozrastać się, aż ogarną całe niebo. To znów — wytryskują z poza niewidzialnego mroku horyzontu jakieś promienie jaskrawe, zielone, żółte i niebieskie, strzelają aż pod sam szczyt sklepienia nieba, przepajają je ogniami migotliwemi, rozlewają się w płachty drgające, promienne, w tęcze dziwne, w krzyże przeogromne, w wieńce świetlne, płonące, lękiem przejmujące zabobonne prostacze serca mieszkańców tej ziemi przerażającej i groźnej.

Są to dni, w których nad martwą pustynią lodową świecą zorze polarne.

W marcu zaczyna już wyglądać słońce, przygasają coraz bardziej zorze mamiące, zaś na ich miejsce przychodzą inne.

Północni ludzie nazywają je „białemi nocami".

Są to wiosenne i pierwsze letnie noce, gdy zachodzące słońce tak długo oświetla ziemię szkarłatnemi i liljowemi promieniami, że z poza szarej płachty na chwilę krótką przygasłych obłoków, wyłania się złociste oblicze wschodzącego słońca.

Wiosna mija szybko i prawie nagle wybucha lato. Natura, zgnębiona surową, nielitościwą zimą, otrząsa się z osłabiającego ją przerażenia, budzi się i wpada w szał, w radość bujną. W gąszczu listowia gzić się zaczynają wiewiórki rude i ptasi drobiazg świergocący, śpiewny; w trzcinach nadbrzeżnych, w trawie wybujałej i soczystej, coś sunię, szeleści suchemi liśćmi, skrada się i czai... ściga zdobycz i ukrywa się przed napastnikiem.

Z morza traw, krzewów, zielonych mchów podnoszą się nagle i spadają na ludzi i zwierzęta czarne chmury wysysających krew owadów: w nocy — komary, drobne muszki gryzące, w dzień — duże żarłoczne bąki, wbijające żądła w skórę, przecinające wargi i powieki, a nieraz na śmierć zagryzające zbłąkanych w kniei ludzi, lub bezbronne zwierzęta, chociażby tak duże i potężne, jak łoś rosochaty lub byk, śmiało stawiający czoło zuchwałym wilkom...

×

Przez bór jodłowy o gęstem podszyciu z krzaków i wysokich traw przedzierała się, wolno postępując naprzód, mała karawana tuziemców.

Na czele szedł niewysoki, lecz barczysty mężczyzna z siekierą w ręku. Futrzana czapa z uszami, spadającemi na policzki, okrywała okrągłą głowę człowieka o ciemnej twarzy i dużych, piwnych, nieco skośnych oczach. Długa koszula ze skóry renifera, przepasana cienkim rzemykiem, takież spodnie szerokie i futrzane buty, ozdobione wisiorkami ze szklanych paciorków, chroniły ciało przed dotkliwemi ukłuciami owadów.

Tuziemiec szedł, torując drogę towarzyszom. Ścinał zwisające nizko nad ziemią łapy jodeł, okrytych mchem, przerąbywał i odrzucał na stronę pnie zwalonych przez burzę drzew.

Tuż za nim, niemal dotykając ostrym pyskiem pięt jego, postępował brudno-biały szpic, wymachując puszystą kitą ogona. Chwilami przystawał, aby wyciągnąć z kosmatego futerka swego dolegające mu i zawadzające ostre zielska, czepiające się go ze wszystkich stron, trząsł łbem, odganiając bąki i muchy bzykające i brzęczące mu koło oczu i czujnych uszu.

O kilka kroków dalej szła kobieta w takim samym futrzanym stroju, tylko nieco ozdobniejszym, bo obszytym na piersi i rękawach barwnemi wstążkami i mosiężnemi guzikami.

Niosła na ręku dziecko, owinięte w ciepłą kołderkę ze skórek lisich i prowadziła za sobą na długim rzemieniu starego, rogatego renifera, obwieszonego tobołami. Uwiązane do drewnianego siodła, ze zwisającemi z niego torbami, kroczyły jeszcze trzy oswojone jelenie. Wprawne oko północnego mieszkańca poznałoby odrazu w przedzierających się przez knieje ludziach— koczujących łowców.

Istotnie na reniferach widniały dwa karabiny, kilka żelaznych sideł i potrzasków, myśliwskie torby na proch i kule, spory ładunek zwiniętych skórek różnych zwierząt.

— Marusz! — krzyknęła kobieta.—Czy prędko dojdziemy?

Mężczyzna obejrzał się i, odganiając oblepiające mu twarz nieznośne owady, odpowiedział spokojnym, łagodnym głosem:

— Gdy słońce stanie nad nami, dojdziemy do jeziora Chołuń, Nań! Miej cierpliwość!

— No, przecież jestem cierpliwa, bo idę i nie narzekam, — odparła. — chociaż te przebrzydłe bąki — „pauty“ dźgają, jak wściekłe! Musimy stanąć, gdyż dziecko jest głodne.

Marusz zatrzymał się natychmiast, naciął prętów i przygotował dla żony wygodne siedzenie.

— Siadaj i nakarm małego Dugena! — rzekł z tkliwością; usiadłszy w kucki, zgarnął suche liście i gałęzie i jął rozpalać małe ognisko, uderzając o krzemień kawałkiem wiszącego na pasku żelaza i rozdmuchując hubkę. Po chwili suche drzewo palić się zaczęło.

Marusz wrzucił do płomieni kilka świeżych gałęzi jodłowych i, wymachując połą, skierował dym na karmiącą kobietę, aby jej nie dokuczały bąki i komary.

Biały szpic kręcił się nieustannie koło myśliwego, piszczał i cicho, żałośnie poszczekiwał.

— Czego chcesz Czao-Ra? — spytał Marusz.

Piesek schwycił go zębami za połę kurtki, i ciągnął ku reniferom. Gdy spostrzegł, że gospodarz podniósł się, Czao-Ra stanęła przy starym reniferze i poczęła głośno szczekać.

— Ach! — mruknął myśliwy. — Zapomniałem o twoich dzieciach, przyjaciółko!

Rozwiązał worek i, wydobywszy z niego koszyk, postawił go na ziemi. Natychmiast wysunęły się z niego główki trzech białych i dwuch szarych szczeniaków o ostrych, kosmatych mordkach i szpiczastych uszkach.

Cicho mrucząc, suka zębami wydobyła maleństwa z koszyka i wyciągnąwszy się wygodnie, zaczęła je karmić, co chwila oglądając się na ludzi, siedzących przy dymiącem ognisku.

W pół godziny później Marusz znowu brnął przez zarośla kniei, a za nim szła Nań z dzieckiem i obładowane skórzanemi torbami, oswojone renifery.

Czao-Ra biegła przy nodze swego pana i węszyła na wszystkie strony, strzygąc uszami i głośno parskając.

Marusz nie pomylił się, bo gdy słońce stało w zenicie, wprost nad głowami przebijających się przez las ludzi, ujrzał obszerną kotlinę, otoczoną porosłemi lasem wzgórzami. Nieduże jezioro, leżące w ramie trzcin i sitowia, lśniło się w promieniach słońca i odbijało w swej nieruchomej toni biało-srebrzyste obłoczki, mknące po niebie. Czereda krzykliwych rybitw unosiła się nad wodą, z jękiem drapieżnym wpadała w nią i porywała ryby.

Marusz zatrzymał się nad brzegiem jeziora, gdzie dojrzał szeroką, suchą łachę piaszczystą.

Szybko zdjął z reniferów wory i toboły, ustawił na ziemi skrzynie, poczem narąbał długich, cienkich żerdzi, ustawił je, wbijając ostremi końcami do ziemi, otoczył skórami, związał rzemieniami i, zapaliwszy we wnętrzu namiotu ognisko, zawołał radosnym głosem:

— Nań, wchodź do „czumu“ z małym Dugenem i niech Wielki Duch będzie miłościwy dla nas!

Patrząc na wybijający się nad szczytem szałasu słup siwego dymu, uśmiechnął się łagodnie.

Czao-Ra zaczęła skakać mu do piersi, usiłując czarnym językiem liznąć w twarz swego pana.

Pogłaskał psa i po chwili rzekł do żony.

— Powieś kocioł z wodą nad ogniskiem... wkrótce powrócę, Nań!

— Dobrze — odezwała się z szałasu.

Marusz, oglądając karabin, gwizdnął zcicha.

Czao-Ra odrazu znieruchomiała i, stanąwszy przed myśliwym, badawczo patrzyła mu w oczy.

— Trzeba coś zdobyć do jedzenia, Czao-Ra — mruknął Marusz. — Idź i szukaj!

Pies pomknął w stronę dziewiczego lasu, całym pędem przecinając równinę, lecz, dobiegłszy do pierwszych drzew, przystanął i ostrożnie, bez szmeru wślizgnął się w haszcze.

Marusz, nabiwszy strzelbę nasłuchiwał.

Zdaleka rozległo się krótkie, urwane szczekanie psa.

Myśliwy biegiem skierował się na ten głos i, zręcznie wymijając gęste zarośla, szedł przez las.

Wkrótce do samotnego szałasu nad jeziorem echo przyniosło huk wystrzału; jeden tylko — głuchy, daleki.

Z „czuma“ wyszła Nań i, przysłoniwszy oczy dłonią, patrzyła w stronę boru.

Wynurzył się z niego Marusz. Dźwigał na ramionach kozła.

Czao-Ra biegła obok, wesoło wymachując puszystym ogonem.

F. Antoni Ossendowski.

(D. c. n.)

„Każdy lisek swój ogonek chwali".

Pewne mądre przysłowie mówi, że „każdy lisek swój ogonek chwali".

Piękny ogonek liska stanowczo jest za wspaniały do rozmiarów jego osoby i dlatego zaciekawia nas, jak to się stało, że go lisek dostał. Wiadomo bowiem, że wszystkie zwierzątka dostały takie ogonki, na jakie zasłużyły.

Jak się więc stało, zaraz wam opowiem.

Było to dawno, bardzo dawno. Zwierzęta wtedy były jeszcze nowe i ich ogonki były również nowe, puszyste i piękne, takie same, jak ma dziś wilk lub żbik — dzikie, piękne kocisko. Wiadomo wszystkim, że wilk lub żbik często są niegrzeczne, bo pierwszy zjada na surowo owieczki, a drugi ptaszki, trzeba jednak przyznać, że zawsze dbają o swe puszyste piękne ogony: wilk nigdy swego po ziemi nie wlecze, a żbik używa swego tylko do owinięcia szyi podczas mrozu.

Inne zwierzęta nie dbały o tę piękną i figlarną ozdobę. Kotek domowy zajmował się zabawą ze swym ogonkiem więcej, niż straszeniem myszek, krówki łechtały po nosie i oczach dziewczynę, która je doiła, bóbr miał ogon wiecznie ociekający wodą, a myszki i szczurki wciąż nosiły ogonki powalane w mące.

Najgorzej zaś było z Misiem. Miły niedźwiedź zawsze był nieznośnym łakomczuchem i dobierał się bez pozwolenia do miodku w dziuplach drzewnych. Pszczółki, oczywiście, dzielnie broniły pracowicie zebranego miodu i z bzykiem atakowały nos, oczy i uszy łakomczucha. Misio opędzał się z prawdziwie niedźwiedzią zręcznością, przy tej zaś okazji zawsze umazał sobie lepkim miodem nietylko łapy, lecz i ogon, chodził więc potem upaprany, jak nieboskie stworzenie! Włosie w ogonie miał pozlepiane miodem i wszystko mu się przylepiało do tego lepkiego ogona, a więc: szyszki sosnowe, piórka zgubione przez ptaki, suche liście, pajęczyna z zeszłorocznego babiego lata, a nawet żywe pluskwy leśne i żołnierze z mrówczej armji, trzymający warty przy drogach do mrowiska.

Niedbalstwo zwierząt rozgniewało śliczną i mądrą królowę Naturę, która rządzi w zielonych lasach, na szerokich polach i w wodach głębokich całej naszej cudnej ziemi.

Mądra królowa postanowiła niektóre zwierzęta ukarać, a inne nagrodzić, więc też razu pewnego, z okazji gwiazdki, rozdała wszystkim zwierzętom najrozmaitsze nowe ogonki. Konie i krówki, niepokojone przez muchy, dostały świetne włosienne opędzaczki od natrętów, wiewiórka, znakomita skoczka leśna, aby nie została schwytana przez dzikiego kota lub kunę leśną, dostała śliczny puszysty wachlarzyk, który rozpościera, gdy skacze ponad przepaścią z gałęzi na gałąź. Bóbr — zmuszony do pracy i żeglugi w rzekach i jeziorach, dostał w darze pyszne wiosło łuską pokryte, koty domowe — ogony w miarę puszyste i w miarę figlarne, niektóre małpki, miłośniczki zabaw, otrzymały ogonki, zastępujące im huśtawkę, myszki i szczury brzydkie, gołe ogonki, ale zato pomocne przy wchodzeniu na ścianę, inne znów takie, których prawie nie widać. Tchórzliwy zając dostał tylko kosmyczek, bo gdy miał długi ogon, to za niego pieski wciąż chwytały.

Wszystkie zwierzęta ucieszyły się z prezentów, ale z Misiem znów źle bardzo się stało!

Nim gwiazdka nadeszła, nieznośny ten obżartuch, tłuszczem pokryty, zrobił sobie barłóg z suchych liści pod obalonym pniem drzewnym i tam się rozespał. A rozespał się do tego stopnia, że nawet do obiadu wstać mu się nie chciało. Gdy czuł głód, wtedy ssał i oblizywał swoją niedźwiedzią łapę, upapraną kiedyś w miodzie i znów spał. Budziły go dzięcioły — nic nie pomogło! Nadeszła gwiazdka. Królowa rozdawała ogonki, a Misio nie przyszedł. Spał!

Wtedy to zgłosił się chytry lisek, prosząc o dar, przeznaczony dla Misia. Łasił się, przymilał i mądrze tłómaczył, aż wreszcie dostał od królowej niedźwiedzi ogon (oczywiście z warunkiem, że go odpowiednio do kostjumu ufarbuje).

Misiowi zaś za łakomstwo, niedbalstwo i ospałość dawny zabrano i dziś mu wstyd, że nie ma ogonka, natomiast „każdy lisek swój ogonek chwali".

Jan Szczepkowski



Rys. M. Wisznicki.

ZAJĄCZKI i WIATR.

(BAJECZKA).

Zajączki sobie mówiły.
„Nie mają wilki siły.
Gdy narobimy hałasu,
uciekną wilki z lasu.

Kapusta, to bomby nasze,
gałązki, to pałasze.
Wilczurom w skórę dajmy,
bombami w nich rzucajmy!"

Podkręca każdy wąsa.
Gałązką swą potrząsa.
Wtem wiatr zawyje srogi.
Zajączki cwałem w nogi.

Przed wilkiem każdy zmyka,
kozły ze strachu fika...
Śmieje się z nich las cały, —
bo wilków nie widziały.

M. Woynarowska.

Uszatki.

Traf to właściwie rzadki,
lecz ponoć są stworzonka, co się zwą: Uszatki.
Uszatek jest podobny do małego duszka,
tylko ma krótkie nóżki i prześmieszne uszka!...
Każde uszko wygląda, jak kwiatowy płatek,
i dlatego: — Uszatek!
Bo Uszatkom ich uszko ważnym sprawom służy,
tak w domu, jak w podróży:
niech tylko polne myszki zrobią wiec pod miedzą,
uszatki mrugną uszkiem — i o wszystkiem
[wiedzą!...
Albo niech pszczoła bzyknie w much
[zwyczajnych tłumie:
— Uszatek już rozumie...
A kiedy lato słońcem praży z całą siłą:
Uszatków uszka chłodzą, że aż wprost jest
[miło...
Ani przez dwa wachlarze
ten, kto nie jest Uszatkiem, tego nie dokaże!
Albo niech ich na wodzie wiatr przyłapie
[nagle —
tylko uszka nastawią — i gotowe żagle...

Bo gdy tylko Uszatków puszczą w świat ze
[sztuby:
każdy na własną rękę sport uprawia luby:
ten biegnie na wycieczkę, ten się dorwał fali —
każdy w jakiejś rozrywce rad się doskonali!
Ten z piłką, ten przy wiośle, ów za zielem
[w pole —
a tu już jesień znowu drzwi otwiera w szkole!
Myślicie, że ich szkoła, to jest zwykła buda?
Otóż nie! Bo ma nawet króla: Ucholuda!
Ten król ma generała, który wszystkiem włada,
i to jest, moi drodzy, Wielka Szkolna Rada!
A wróżka, która uczy (to jest rzeczą nową!...)
— wykłada przez telefon każdziuteńkie słowo!
siedząc pod liściem klonu w swojej rezydencji —
a paź jej, biały królik, dzwonkiem dla niej
[kręci!..
Po drucie słowa biegną, jakby miały nóżki,
a Uszatkowie słyszą każde słówko wróżki:
„Uszatek numer pierwszy! Proszę do stolika!“
I wnet przy telefonie lekcja się przemyka:
„Od kiedy to Król Ćwieczek władał na tym
[świecie?
Nie wiesz? A drugi? Trzeci?... Jakto! też
[nie wiecie?“
Albo pytania nowe:
— Skąd jedwab na pajęczą bierze się osnowę?
Lub: jak podzielić równo (wcale to nie fraszki!..)
— Trzy pszeniczne ziarenka między cztery
[ptaszki?..
I takto przez telefon w postępowej szkole
przechodzą Uszatkowie nauk trudną kolej.
Bo i czyż to nie świetnie? No, pomyślcie, dzieci!
Nauka w uszko sama wprost z powietrza leci!
A zwłaszcza, że jeżeli nawet coś się zbroi:
— Telefon — nic! Jak stoi, tak wciąż dalej stoi!
Bo choć mądrości wróżek prawie niema
[granic:
i wróżka przez telefon nie da klapsa za nic!
Takąto dziwną szkołę, moiściewy mili,
Uszatkowie niedawno pono założyli.
Proście ładnie Kurjerka, a (są różne cuda!..)
— może i o czemś więcej zwiedzieć mu się
[uda?...
I wtedy — kto wie?..
Coś jeszcze dziwniejszego wkrótce wam opowie!..

M. H. Szpyrkówna.

ZIMA.

Śnieżek skrzypi, słońce świeci,
siejąc blask złotawy!
Mróz różowi buzie dzieci.
— Dalej do zabawy.
Do zabawy! Lepić dziadka,
bałwana ze śniegu! —
Raźno zwija się gromadka,
tocząc kule w biegu.
Kula prędko rośnie, rośnie,
Będzie dziad wspaniały!
Oczy śmieją się radośnie,
choć ręce skostniały.
Chucha w palce, tupie nogą
Niejeden zuch taki.
Większe mrozy też być mogą,
myśmy nie zmarźlaki-
— Ale dosyć — Jaś powiada —
Już kule gotowe.
Z większej będzie tułów dziada,
z tej zrobimy głowę.
Teraz wałki dwa na ręce
Zosia niech utoczy,
a ja nos z patyka wkręcę
i z węgielków oczy...
Świetnie! Tylko fajkę w usta,
w rękę kij dębowy,
na patyku ciemna chusta
i — bałwan gotowy!...
Hejże, hejże, dalej wkoło
śnieżnego olbrzyma!
Chociaż mroźno, lecz wesoło!
Wiwat śnieg i zima!

Alina Kwiecińska.



Rys. M. Wisznicki.

DOMEK-BALONIK.

Wichry kręciły, wichry huczały,
Wichry nasz domek w górę porwały.

Domek - balonik leci do góry
Coraz to wyżej: w chmury, nad chmury.

Nareszcie zawisł i — patrzcie, dzieci,
Domek na niebie, jak księżyc świeci.

Alfons Dzięciołowski.

Rozrywki umysłowe.

ZAGADKA — KROPKI
(dla dzieci i młodzieży)

Do nietrudnej zagadki
Wzywam młodzież i dziatki:
Niech się każde przybliży
Do wierszyka, co niżej,
I, gdy treść go ciekawi,
Niech miast kropek postawi
Liter zgodną gromadkę,
A rozwiąże zagadkę,
Nie odchodząc od stołu,
Bo od góry — do dołu
Pierwszych liter znaczenie
Ułoży się w promienie
Zdania, które masz w duszy,
Co serduszko poruszy,
Gdyż nad wszystko — nad życie
Jedną tylko wielbicie
Tę, co z liter wiązania
Ułoży się w sens zdania. —

. . . .

..odę naszej pięknej i ojczystej niwy
..chanowski opiewał pod swej lipy cieniem,
...sując swej wioski spokój tak szczęśliwy,
...rem jej pojąc wszystkich, jak wiośnianem [tchnieniem.
...storja także chwali cuda naszej ziemi.
..cydzieło Reymonta też nam o niej głosi...
..tura nas obdarza cudami wszelkiemi,
. plon bogaty w owoc — co roku — przynosi
..łno wszelakich bogactw w Ojczyźnie [kochanej:
..kuskie i dąbrowskie kopalnie są słynne,
..sy mamy obfite w różne drzewostany,
..ławne rzeki i fabryk — wciąż — warsztaty [czynne. —
...ryż więc dziś z narodów nad nami góruje?
..ali każdy Polak dumnym się nie czuje?

Henryk Pianowski.

Rozwiązanie szarady, umieszczonej w „Dodatku dla dzieci" przy Nr. 353 (wigilijnym) „Kurjera"

I-STO-TY SIE-RO-CE.

Dobre rozwiązanie nadesłali w terminie właściwym: Lidja Aninowska, Danusia Białowiejska, Ania Jabłkowska, Krysia Jabłonowska, Br. Oleszyńska, Czaruś Poborzył, Irenka Prószyńska, Małgosia Przedrzymirska, Anna i Bohdan Siedleccy i Marysia Udowicz — wszyscy z Warszawy, oraz Joasia Modrzejewska z Lublina, Z. Lubowidzka z Łomży, Jurek Brolski i Reginka Samborska z Siedlec, Halusia Wolmerówna z Grodziska, Ala Godlewska z Włocławka, Wandzia Fronczakówna z Nowego Dworu i Witolek Ciechomski z Wólki Gościeradowskiej.

Nagrody książkowe przyznano (drogą losowania): Ani Jabłkowskiej, Irence Prószyńskiej i Marysi Udowicz — z Warszawy, oraz Joasi Modrzejewskiej z Lublina, Regince Samborskiej z Siedlec i Wandzi Fronczakównie z Nowego Dworu.

Nagrody wydaje woźny — codziennie — w godzinach biurowych.

H. P.



Rys. M. Wisznicki.